Za zakrętem, Anna Staszewska

**Niebieska Linia, nr 5 / 2004**

*Mąż już w dniu ślubu wywołał awanturę o to, że podobno szwagier patrzył na mnie lubieżnie – wspomina Helena. – Sądziłam jednak, że to dowód miłości. Dopiero potem przekonałam się, jak chorobliwa jest to zazdrość i jak mało wspólnego ma z miłością. Powinnam odejść, zanim jeszcze urodziły się dzieci. Widziałam przecież, jak mój ojciec traktował mamę, a jednak popełniłam ten sam błąd.*

Musiało minąć prawie ćwierć wieku i nagromadzić mnóstwo cierpienia, żeby Helena mogła uwolnić się od przemocy, którą jej mąż stosował z niemym przyzwoleniem rodziny, sąsiadów i policji. Na jej życiu zaciążyła również siła stereotypów, które wielu kobietom w dalszym ciągu każą tkwić w związkach pełnych zła. Ale historia Heleny jest dowodem na to, że tak być nie musi.

Kilka razy, kiedy mąż pobił Helenę, próbowała wezwać policję. Raz okropnie pobita dowlokła się do sołtysa mieszkającego jakieś 200 metrów od ich domu i kiedy zadzwoniła do komisariatu, dyżurny zapytał:

- A skąd pani dzwoni? – Od sołtysa – odpowiedziałam. – Bo mąż zabrał kabel od telefonu. – No to chyba nie jest pani w najgorszej formie, skoro przeszła taki kawał – stwierdził i odłożył słuchawkę.

Innym razem przyjechał kolega męża, szef policji. Zabrał go podobno za wieś i wytłumaczył, jak ma bić, żeby nie było śladów i żeby nie mogła zrobić obdukcji.

**Prywatny obóz koncentracyjny**

Helena żyła w zupełnej izolacji, nie mogła liczyć na żadną pomoc, bo mąż robił wszystko, żeby nie miała z nikim kontaktu. Nikt ich nie odwiedzał ani nie zapraszał do siebie. Miał obsesję na punkcie kontrolowania jej: za każdym drzewem widział kochanków, kiedy wychodził z domu, zamykał na kłódkę furtkę i bramę, zabierał kabel od telefonu, jej dowód osobisty. Czasem po awanturze palił ubrania. Zakupy robił sam, więc gotowała to, co kazał. Czasem dawał jej dokładnie wyliczoną sumę i pozwalał pójść do sklepu oddalonego o 300 metrów od domu. Wtedy stał przy płocie i sprawdzał, czy z kimś nie rozmawia. Czasem głodził ją, zostawiał trochę chleba dla dzieci, a jej nie pozwalał jeść, mówił, że jest pasożytem.

- On zawsze znalazł powód, żeby się wyżywać. Bałam się, bo wiedziałam, że może spełnić każdą groźbę. Zachowywałam się, jak osoba chora psychicznie – wspomina Helena. – Biegałam od okna do okna i patrzyłam, czy już wraca. Kiedy słyszałam szczekanie psa, zaczynały mi się trząść ręce i robiło mi się niedobrze ze strachu. Próbowałam sobie przypomnieć, czy jestem ubrana tak samo jak wtedy, gdy wychodził, bo gdybym się przebrała, powiedziałby, że stroję się dla kochanków. Całe moje życie koncentrowało się na unikaniu niebezpieczeństw.

W psychice osoby, która wiele lat tkwi w tak niszczącej zależności, zachodzą istotne zmiany. Im dłużej to trwa, tym trudniej się wyzwolić. Aby wywołać w ofierze silne poczucie lęku lub uległości, wystarczy sama groźba użycia przemocy, słowo, gest, spojrzenie. To nie dzieje się oczywiście z dnia na dzień, przemoc zwykle narasta na przestrzeni wielu lat.

**Zaklęty krąg**

Helena poznała męża, kiedy jej pierwsza córka, Kamila, miała rok. Ujął ją tym, że troszczył się o dziecko i kiedy zaproponował małżeństwo, Helena zgodziła się prawie bez namysłu. Zależało jej, żeby córka miała ojca, bo jej prawdziwy tata odszedł do innej kobiety. Sądziła, że złapała Pana Boga za nogi. Zamieszkali we wsi Ostrówek koło Turku, w sąsiedztwie rodziców męża.

Helena pochodzi z rodziny wielodzietnej, miała ośmioro rodzeństwa. Mama pracowała jako tkaczka, ojciec woził węgiel. Poza tym dużo pił, bił mamę, ciągle robił awantury. A jak któreś z dzieci opuszczało dom – cieszył się, że jest o jedną gębę mniej do wykarmienia. Od rodziców nie dostali właściwie nic – ani miłości, ani żadnej pomocy.

Trudno więc dziwić się Helenie, że w dorosłym życiu stała się – podobnie jak matka – ofiarą przemocy. Nie znała przecież innych, zdrowych relacji rodzinnych, na których mogłaby się wzorować.

**Bóg jakby to akceptował**

- Wiele razy myślałam o odejściu, ale z biegiem czasu czułam się coraz bardziej uwiązana. Kiedy Kamila miała 3 lata, urodził się Maciek, dwa lata później Marcin, potem Robert i Klaudia. Gdyby ktoś podał mi dłoń, odeszłabym po śmierci Maćka. Byłam wtedy bardzo zrozpaczona i zdesperowana. Maciek miał 7 lat, kiedy zachorował na raka kości. Umarł rok później. Mąż twierdził, że to wina Heleny, to kara za to, że się puszcza.

- Odniosłam wrażenie, że dla męża śmierć syna oznaczała tylko tyle, że kłopot ma już z głowy. Dla mnie był to wielki smutek. Czułam się bardzo osamotniona.

Któregoś dnia chciała pojechać na cmentarz, ale mąż się nie zgodził. Stali na polu, niedaleko pracowali melioranci i przysłuchiwali się kłótni. Kiedy mąż zaczął ją bić, ruszyli na pomoc. Ale on był tak rozwścieczony, że rzucił się na nich z kosą. Dali więc spokój, a on skatował Helenę na ich oczach. Zrobiła obdukcję i dostał za to wyrok w zawieszeniu. Wtedy ludzie ze wsi odsunęli się od niej jeszcze bardziej. Kobiety mówiły: „Przecież wszystkie dostajemy, a żadna nie biega do sądu i nie podaje męża na policję”. Była zrezygnowana. Czuła się, jakby była zamknięta w klatce, z której nie ma wyjścia. Tak jakby pozostała jej tylko bierna egzystencja, bo on i tak może zrobić z nią, co zechce, któregoś dnia może ją nawet zabić. I wtedy nikt mu w tym nie przeszkodzi. Nawet sam Pan Bóg jakby to akceptował, bo postanowił ją doświadczać bardziej i bardziej.

- Kiedy w 1991 roku urodził się Robert, lekarze powiedzieli, że ma zespół Downa – opowiada Helena. – Wszyscy we wsi pokazywali go palcami, mówili o nim mongołek. Uważali, że powinnam go trzymać w domu, bo to wstyd mieć takie dziecko. Mąż też się wstydził, ale tak jak po śmierci Maćka, tak i teraz powiedział, że gdybym się nie kurwiła, to bym miała zdrowe dzieci. Ale ona kochała syna, może nawet bardziej niż pozostałe dzieci, bo był bezbronny. Tylko myśl o dzieciach utrzymywała ją przy życiu i kazała trwać mimo nieludzkiego cierpienia. Dla nich też postanowiła odejść od męża.

**Niemożliwe staje się możliwe**

Kiedy ktoś przez wiele lat poddawany jest ogromnej presji i nie wiadomo już, jakie zachowania są dobre, a jakie złe, bo nie ma w tym żadnej konsekwencji, wówczas naturalną rzeczą jest, że stara się być jak najmniej aktywny. Nie chce się narażać. Wtedy też niemożliwe wydają się jakiekolwiek działania, które mogłyby uwolnić ofiarę od cierpienia. Coś, co normalnie żyjącemu człowiekowi wydaje się łatwe, dla kogoś w takiej sytuacji jak Helena – jest nieosiągalne. Dlatego decyzja o odejściu dojrzewała w niej bardzo długo. – Zawsze o tym myślałam, ale brakowało mi odwagi, nie wiedziałam, czy sobie poradzę, co powiedzą ludzie, czy on mnie nie odnajdzie i czy w ogóle uda mi się uciec z tej fortecy. Nie miałam dokąd iść, wiedziałam, że matka będzie mnie namawiała do powrotu, a na pomoc rodzeństwa nie mogłam liczyć.

Żeby człowiek w takiej sytuacji mógł podjąć decyzję o zmianie, ktoś musi mu pomóc albo w jego życiu musi wydarzyć się coś, co przepełni przysłowiową czarę goryczy. W życiu Heleny zadziały się obydwie rzeczy.

W 1997 roku zaginęła Kamila. Pojechała szukać pracy i przepadła bez wieści. Helena winiła siebie za to, bo tuż przed wyjazdem córki powiedziała: „Zrób wszystko, żebyś do tego piekła nie musiała nigdy wrócić”. Dziewczyna posłuchała. Przysięgła sobie też, że nie odezwie się, dopóki matka będzie mieszkać z ojcem. Miała żal do niej, że pozwala, aby ten ją krzywdził. Winiła ją również za wszystkie krzywdy, których sama doświadczyła w domu i których teraz doświadcza jej rodzeństwo.

Helena przez trzy lata bez skutku poszukiwała córki. Jej utrata była dla niej i rzeczywista, i symboliczna. Czuła, że mimo starań nie uda jej się uchronić dzieci przed krzywdą.

Marcin był już dorosły, ale został jeszcze Robert i Klaudia. Bała się, że straci ich tak samo, jak straciła Maćka i Kamilę. A tego by nie przeżyła. Czuła, że albo coś zrobi, albo wszystko pójdzie na marne i już nigdy nie zdoła się podźwignąć. Wtedy dość nieoczekiwanie ktoś przyszedł z pomocą – kuzynka męża dała jej telefon do „Niebieskiej Linii”, która pomaga ofiarom przemocy w rodzinie. To oni wskazali jej miejsce, w którym mogłaby się schronić. Od tego momentu zaczęła planować ucieczkę.

**Podróż życia**

To była podróż jej życia, czuła, że jeśli nie uda się teraz, to nie uda się już nigdy. Bała się, że po drodze spotka męża i nie wyobrażała sobie nawet, co mógłby jej wtedy zrobić. Ale nie miała wyjścia, więc tylko modliła się w duchu, żeby wszystko dobrze poszło.

I udało się. Najpierw dotarli do Warszawy, potem do Domu Samotnej Matki w Brwinowie, gdzie spędzili – może nie najszczęśliwsze, ale jednak spokojne dwa lata.

- Po raz pierwszy pomyślałam – jestem górą, podjęłam decyzję i ją zrealizowałam. A on jest bezsilny. Nie może mnie pobić, nie może na mnie nawrzeszczeć, zamknąć w domu.

To nie był łatwy czas dla Heleny, wymagał dużo uporu, odwagi, musiała też zmierzyć się z wrogością ludzi. Wiele kobiet w Domu Samotnej Matki dokuczało Robertowi, mówiło swoim dzieciom, żeby nie bawiły się i nie siadały obok głupka. A w szkole niektórzy rodzice, wiedząc, że Helena mieszka w Domu Samotnej Matki, nie odpowiadali jej nawet na powitanie. Ale wszędzie są przecież dobrzy i źli ludzie.

- Teraz mam tu już wielu serdecznych znajomych. Prawdę mówiąc, znam tu więcej ludzi niż w Ostrówku, gdzie mieszkałam 20 lat.

**Tylko Marcina żal**

Powoli odzyskiwała siły. Kiedy była już na tyle pewna siebie, żeby znowu spotkać się z mężem, przeprowadziła w sądzie sprawę o separację, uzyskała alimenty, a w końcu udało jej się nawet wynająć mieszkanie. Po zapłaceniu czynszu i rachunków starcza na skromne życie. Skromne, ale godne i bez przemocy.

- Jak mi się teraz żyje? Ciężko, bo wszystko jest na mojej głowie, ale mam święty spokój. Mnie cieszy nawet to, że mogę wyjść z domu, kiedy chcę, mogę ugotować, co chcę, zaplanować swój dzień, jak chcę. Jestem pewna, że nigdy tam nie wrócę. Tu mogłam w końcu ochrzcić Klaudię i wysłać dzieci do komunii. Wcześniej nie mogliśmy chodzić do kościoła, bo mąż twierdził, że ksiądz mruga do mnie dwuznacznie. Myślę, że nic nie straciłam. Przeciwnie, po 5 latach odzyskałam córkę.

Kiedy Helena mieszkała już w Brwinowie, wystąpiła w programie „Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie”. Po jego emisji Kamila odezwała się. Teraz często odwiedza matkę i rodzeństwo. Na nowo uczą się bycia razem. Helena tęskni jedynie za Marcinem, który ma teraz 23 lata, wciąż mieszka z ojcem i jest pod jego presją. Kiedy chciał się wyprowadzić, ojciec zagroził, że się powiesi. Nie pozwala mu nawet pojechać do matki. Ale być może i on w końcu dojrzeje do zmiany. Może zdarzy się coś, co mu uświadomi, że nie jest niczyją własnością i podejmie decyzję o zmianie swego życia.

Od wyjazdu Heleny mąż widział się z dziećmi kilka razy, raz dał Robertowi 20 złotych, raz przywiózł trochę truskawek i słodyczy. – Dzieci nie lubią z nim rozmawiać, bo wciąż pyta, z kim się spotykam i dokąd chodzę – mówi Helena. – Raz wzięłam od córki słuchawkę i powiedziałam mu, że gdybym nawet miała dziesięciu kochanków, to jemu nic do tego. Do niego nie dociera, że mieszkam sama, i tak jest mi dobrze. Myślał, że bez niego zginę. A ja – powiem szczerze – nie wyobrażam sobie żadnego mężczyzny w tym domu. Nie zniosłabym, gdyby jakiś facet znowu szturchał i popychał moje dzieci.

**W pół drogi, ale za zakrętem**

To prawda, że Helena przez wiele lat nie miała odwagi odejść, że w jakiś sposób godziła się na swój los i skazywała na niego dzieci, ale prawdą jest również, że w końcu odeszła. Tylko ona wie, jak wiele sił potrzebowała, żeby to przetrwać i w końcu powiedzieć – NIE. Pewnie ciągle jest gdzieś w pół drogi. Odzyskała wprawdzie bezpieczeństwo, ale powrót do równowagi psychicznej po takich przeżyciach, to długi i trudny proces.

Nie wiadomo, jak potoczyłyby się losy Heleny, gdyby nie odważyła się odejść od męża. Niewykluczone, że w którymś momencie doszłoby do jeszcze większej tragedii. Z danych policyjnych wynika, że 30% wszystkich zabójstw w Polsce to zabójstwa, do których dochodzi w rodzinie. Według psychiatrów niebezpieczeństwo to wzrasta w przypadku, gdy mąż uzasadnia swoją agresję absurdalną zazdrością.

**A. S.**

żródło: <https://psychologia.edu.pl/czytelnia/131-przemoc/1443-za-zakretem-anna-staszewska.html>